

ŻYCIE JEST DROGĄ DO WIECZNOŚCI MOJE ŚWIADECTWO

Niech będzie Bóg uwielbiony!

Proszę Trójcę Przenajświętszą i Maryję Niepokalaną, by towarzyszyli mi w pisaniu tego świadectwa i by błogosławili każdą osobę, która będzie to świadectwo czytała. Amen.

Mam na imię Sydonia. Takie imię nadał mi mój tato wraz z moją ciotką – odwiedzającą nas każdego roku w wakacje, siostrą zakonną ze zgromadzenia Sióstr Służebniczek Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny. Ponieważ moja mama z babcią, z którą mieszkaliśmy, nie mogły się w tej kwestii dogadać, więc Bóg wybrał najlepsze rozwiązanie tego konfliktu.

Chciałabym podzielić się wydarzeniami z mojego życia, za które jestem Bogu ogromnie wdzięczna.

Urodziłam się 14 lipca 1971 r. w rodzinie katolickiej. W domu rodzinnym mieszkałam z tatą (ur. 1948), mamą (ur. 25 lipca 1950 – zm. 27 marca 1990), bratem (ur. 8 maja 1975 – zginął tragicznie 25 października 1977), siostrą (ur. w 1979) i babcią (ur. 9 stycznia 1920 – zm. 17 listopada 2009), którą najczęściej widywałam z różańcem w ręku.

Jak wynika z dat urodzin i śmierci moich bliskich, śmierć brata przeżyłam jako sześciolatka i wtedy po raz pierwszy jako dziecko chciałam skoczyć z dachu, by móc „być w Niebie z Michałkiem”, ponieważ babcia wytłumaczyła mi, że Michałek umarł i poszedł do Nieba – dzięki Bogu i mojemu tacie żyję.

Mama moja zmarła po krótkiej chorobie w szpitalu (9-27 marca 1990 – krwotok podpajęczynówkowy). Bardzo głęboko przeżyłam chorobę mamy i w tym czasie zanosila gorące modlitwy do Boga, by darował Jej życie. Niestety, kiedy nie zostałam wysłuchana, w dziecienny sposób zawiodłam się na Bogu i się „obraziłam”... i choć zelatorka Żywego Różańca wpisała mnie na miejsce mojej mamy do Żywego Różańca, niezbyt sumiennie wywiązywałam się z obowiązku odmawiania tej tylko jednej „dziesiątki”.

W przezwyciężeniu traumy po śmierci mamy pomógł mi mój ówczesny chłopak, a obecnie mąż Błażej (Sakrament Małżeństwa zawarliśmy 6 października 1990 r.). W lipcu 1991 r. przyszła na świat nasza córeczka Elwira, a dwa lata później, w lipcu 1993 r. urodził nam się synek Dawid. Od tej pory mieszkaliśmy

w czwórce. Życie przebiegało na pracy, obowiązkach domowych i zawodowych (pracowałam jako księgowa). Do kościoła chodziliśmy w zależności od nastroju i ochoty. Gorliwość nasza wzrosła przed I Komunią naszej córeczki, która należała do chóru kościelnego. Syn od szóstego roku życia był ministrantem, więc zaczęłam z obowiązku chodzić na Msze św. w tygodniu, na rotaty, Gorzkie żale, nabożeństwa majowe, różańcowe itp. W związku z czym na zewnątrz wyglądałam na osobę bardzo wierzącą, co w gruncie rzeczy było tylko pozorem, ponieważ moja postawa była istic faryzejska, bardziej wynikająca z tradycjonalizmu niż wiary i miłości do Boga.

Poprzez splot różnych okoliczności i sytuacji zaczęłam chorować na depresję i od 1997 r. brać leki psychotropowe – antydepresanty (Bóg uzdrowił mnie z niej w 2010 r. Swoim Słowem). Za ścianą mieliśmy sąsiada, który terroryzował nas od wielu lat, i dopiero jak rzucił we mnie wiadrem pełnym węgla (w lutym 2004 r.) trafiając mnie w głowę, sąsiad został umieszczony w zakładzie psychiatrycznym z diagnozą schizofrenii paranoidalnej. Atak ten skutkowałam moją hospitalizacją, z powodu pęknięcia kości policzkowej, obrzęku mózgu i uszkodzenia kręgosłupa szyjnego.

Pierwszy przełom w moim życiu nastąpił 2 kwietnia 2005 r., w dniu śmierci naszego ukochanego Papieża Św. Jana Pawła II. Przeżyłam to tak bardzo, że musiałam sięgnąć po silniejsze leki i postanowiłam zmienić coś w swoim życiu... W czerwcu ksiądz proboszcz ogłosił, że jak co roku 5 lipca wyrusza piesza pielgrzymka na Jasną Górę – tym razem jako dziękczynienie za naszego Jana Pawła II – którego bardzo ceniłam, a że miałam także i swoje własne powody do dziękczynienia (sąsiad się wyprowadził, my skończyliśmy rozbudowę i mieliśmy się przeprowadzać na nowe mieszkanie) zdecydowałam, że pójdę wraz z dziećmi na tę pielgrzymkę... Jak postanowiłam, tak też zrobiłam. Oczywiście – obawiałam się, czy dam radę czy dzieci sobie poradzą, ale one poradziły sobie lepiej ode mnie. Hasło pielgrzymki było następujące: „EUCHARYSTIA ŹRÓDŁEM NADZIEI” i jak się okazało po kilku latach, właśnie to hasło stało się moim życiowym i duchowym drogowskazem.

Czas pielgrzymowania okazał się czasem wyjątkowym, wspinałm, wtedy po raz pierwszy zobaczyłam, czym jest wspólnota w Kościele Katolickim, jak piękne mogą być rozmowy i relacje ludzkie oparte na Bogu, jak bardzo bezinteresowne... Wtedy po raz pierwszy doświadczyłam uniesień serca na modlitwie, w śpiewie, kontakcie z przyrodą... Odczułam, że coś zmieniło się w moim sercu, ale pielgrzymka się skończyła, trzeba było wrócić do rzeczywistości...

Pamiętam też pewną sytuację, jakby to było dzisiaj, tuż po powrocie z pielgrzymki w moim miejscu pracy siedziałyśmy w biurze we trzy, współpracownicy i koleżanki. Wszedł pewien pracownik i doszło do sytuacji konfliktowej z jedną z nich, chodziło o jakąś niezgodność w dokumentach. I po tym czasie uniesień mojego serca była to dla mnie ciężka do zniesienia sytuacja. Podeszłam do okna, spojrzałam w niebo i zwróciłam się do Boga: „Boże, błagam Cię, zrób coś z moim życiem, ja nie chcę tak żyć, zabierz mnie stąd z powrotem na pielgrzymkę”. I jak się później okazało, Bóg bardzo poważnie podszedł do moich słów – tak, tak, trzeba bardzo zważać na wypowiedziane przez nas słowa, bo z każdego zdamy sprawę przed Bogiem.

Jakiś czas później jedna z koleżanek przyniosła nam książkę Glorii Polo „Od złudzenia do Prawdy”. Przeczytałam opis i bardzo mnie zainteresował, a że jestem z natury osobą bardzo niecierpliwą i książka była jedna, a my byłyśmy trzy chętne do jej przeczytania, postanowiłam, że ją sobie kupię. Weszłam



na stronę wydawnictwa *Vox Domini* i zamówiłam. Przy okazji, sprawdzając całą ofertę wydawnictwa, natrafiłam na opis dzieła spisane przez Marię Valtortę, na „*Poemat Boga Człowieka*”, ale wtedy pomyślałam sobie: „5000 stron o Panu Jezusie? To musi być strasznie nudna lektura”.

Książka Glorii Polo przyszła, przeczytałam ją, ale stwierdziłam, że jest trochę przesadzona, a ta Gloria Polo to chyba jest jakaś „nawiedzona” osoba. Czas mijał, kolejne miesiące, a ja, pomimo że przeżyłam piękny czas na pielgrzymce, nie zrobiłam nic by odpowiedzieć na wezwanie Boga, wręcz przeciwnie – zamiast wypełnić swoje serce Duchem Świętym, zaczęłam je wypełniać duchem tego świata. Wpadłam w „wir” zakupoholizmu, zaczęłam częściej spędzać popołudnia i wieczory „na wesoło”, nie stroniąc od alkoholu... Zaczęło mnie też coraz bardziej ogarniać poczucie bezsensu życia, pomimo, że po ludzku mogłam czuć się szczęśliwa: fajny mąż, zdolne, dobre dzieci, ładny dom, dobre płatna praca.

W pierwszą sobotę czerwca 2006 r. przeżyłam krwotok wewnętrzny z powodu ciąży pozamacicznej i pękniętego jajnika. Było to dla mnie traumatyczne przeżycie i po raz pierwszy w życiu poczułam strach przed śmiercią. Szybko się jednak otrząsnęłam po tej operacji i powróciłam do „świata”. Ale co było w tym wydarzeniu dobre? To, że od tamtej pory zaczęłam odmawiać różaniec.

Potem zaczęły się problemy z bólem kręgosłupa szyjnego i rękami – powoli zaczęłam tracić czucie w rękach, zwłaszcza w prawej – z miesiąca na miesiąc było coraz gorzej, tak że na przełomie roku 2008 i 2009 byłam już na zwolnieniu lekarskim, oczekując na operację wszczepienia implantu, ponieważ rezonans wykazał pęknięcie krążka międzykręgowego, wypadnięcie jądra miazdzystego, przepuklinę worka oponowego i ucisk na nerwy: skutek uderzenia wiadrem w 2004 r.

W międzyczasie okazało się, że nasza córka jest w stanie błogosławionym – co początkowo było dla nas szokiem – ale w konsekwencji okazało się przeogromnym błogosławieństwem, ponieważ to ja miałam okazję uczyć się od mojej wnuczki, jak być „dzieckiem Bożym”.

Operację miałam w środę 27 stycznia 2009 r. i dostałam pół roku zwolnienia lekarskiego. Jednak w miarę upływu czasu nie czułam się lepiej, byłam bardzo osłabiona i dokuczalo mi kołatanie

serca, a że choruję na niedoczynność tarczycy, myślałam, że to jest przyczyną mojego niedobrego samopoczucia.

To moja córka, która spodziewała się dziecka, zorientowała się, że moje wyniki odbiegają od normy i zasugerowała wizytę u lekarza. Trochę to potrwało, zanim poszłam... I tak zaczęły się moje „wędrowki” po przychodniach i lekarzach. Tymczasem stan się pogarszał. W czerwcu 2009 r. powróciłam do pracy, a od lipca ponownie zaczęłam „bywać w szpitalu” na transfuzjach krwi...

14 maja 2009 r. przychodzi na świat moja wnuczka Blanka. Rodzi się przez cesarskie cięcie, ponieważ była owinięta trzykrotnie wokół szyi pępowiną i w trakcie akcji porodowej zaczęło jej zanikać tętno, towarzyszyło temu zachyłostowe zapalenie płuc i lekarze po porodzie oświadczyli, że jeżeli przeżyje pierwszą dobę, to będzie żyła... Dziecko dzisiaj ma siedem lat i jest zdrową, na medal dziewczynką. Wiem, że zawdzięczamy to Zwycięskiej Królowej Różańca Świętego i odmawianiu różańca za wnuczkę przez cały okres trwania ciąży.

W końcu po paru miesiącach (od kwietnia 2009 r.), kilku pobytach w szpitalach, w tym cały miesiąc październik spędzony w szpitalu, w dniu 3 listopada 2009 r., mąż odebrał telefon, że ma się zgłosić do szpitala... diagnoza brzmiała: „*Zespół Mielodysplastyczny 5q-*”. Z jednej strony ulga, że wreszcie wiadomo, co mi jest!!! A z drugiej „dolina”, bo już wcześniej podejrzewałam (dzięki „doktorowi Google”), że to może być ta choroba. Przeczytałam, że średnia długość przeżycia wynosi pięć lat, i jak zdążyłam sprawdzić w mojej zakładowej dokumentacji medycznej: spadek hemoglobiny zaczął się od 2006 r., czyli rokowania były nieciekawie. Pomyślałam: „*Zostały mi jeszcze dwa lata życia...*”, a że moje życie oceniałam przez pryzmat czysto ludzki, byłam przekonana, że szans na przeżycie nie mam, bo „*karą za grzech jest śmierć*”...

W tym czasie moja babcia, która mieszkała nad nami, była już bardzo chora. Leżała przykuta do łóżka od dwóch lat. Kiedy jej o tym powiedziałam, stwierdziła, że będziemy się gorliwie modlić... Był to czas, kiedy wszyscy razem (mieszkamy w dużej kamienicy: ja z mężem i wtedy jeszcze synem, córką i jej rodziną, z moim tatą i jego drugą żoną, moją siostrą i jej rodziną oraz dwie rodziny sąsiadów) codziennie gromadziliśmy się wspólnie u babci na modlitwie różańcowej i Koronce do Bożego Miłosierdzia. Po otrzymaniu diagnozy, zanim babcia

odeszła do Pana, zdążyliśmy jeszcze odmówić Nowennę do św. Judy Tadeusza.

Babcia odeszła do Pana 17 listopada 2009 r., w godzinie Miłosierdzia, do którego miała szczególne nabożeństwo.

Na dzień 27 listopada 2009 r. miałam wyznaczone osobiste spotkanie z panią hematolog w Poznaniu, gdzie po obejrzeniu mojej dokumentacji medycznej otrzymałam od niej informację, że termin przyjęcia na oddział hematologiczny mam na 8 grudnia 2009 r. (!). Wtedy jeszcze nie wiedziałam o Godzinie Łaski ani też na tym etapie nie potrafiłam odczytywać znaków Opieki Maryi.

Leżąc na oddziale, dowiedziałam się, że będą robili badania zgodności szpiku mojego i mojej jedynej siostry. W tym celu moja siostra przyjechała do Poznania i wraz z próbkami mojej krwi (ja przebywałam w izolatce) pojechała na badania. W związku z tym, że był to okres przedświąteczny, pani laborantka powiedziała, że wyniki będą po Nowym Roku.

W dniu tego badania bardzo się modliłam przez cały dzień i wieczór, prosiłam szczególnie mojego Anioła Stróża o pomoc. Tej nocy po raz pierwszy od dnia śmierci przyszła mi się moja babcia i tak mi powiedziała: „*Nie płacz, moje dziecko, przecież ci obiecałam, że cię samej z tym nie zostawię*”. W związku z tym, że wyniki miały być dopiero za około trzy tygodnie, wypisano mnie do domu.

17 grudnia 2009 r., będąc już w domu, odebrałam telefon od mojego męża, który oświadczył, że ma dla mnie prezent na Boże Narodzenie, a była nim informacja o zgodności genetycznej z moją siostrą: nasze szpiki były identyczne!!! Wyniki wraz tą z informacją otrzymałam 17 grudnia 2009 r., czyli równy miesiąc



po śmierci mojej babci i to był dla mnie Znak z Góry!

Mój czas upływał mi na pobytach w szpitalu, rozmyślaniu, modlitwie, słuchaniu *Radia Maryja*, za które Bogu niech będą dzięki, bo to właśnie dzięki temu radiu dowiedziałam się, że życie ludzi chorych, a do nich się jak najbardziej zaliczałam, także ma sens, że nie tylko młodzi, zdrowi i pracujący konsumenci mają do niego prawo, ale i moje cierpienie może się „na coś przydać”.

A wtedy, kiedy miałam bardzo niską hemoglobinę, że z ledwością poruszałam się po domu, a niekiedy wiele dni spędzałam, leżąc lub siedząc, mogłam dzięki *Radia Maryja* codziennie uczestniczyć w Eucharystii (skąd czerpałam siłę), w katechezach (dających mi wiele odpowiedzi), w rozmowach i modlitwach, w których czasami uczestniczyłam telefonicznie.

Z kobiety aktywnej fizycznie i zawodowo przeistoczyłam się w kobietę chorą, potrzebującą pomocy innych. Obowiązki domowe zaczęli przejmować moi najbliżsi. Straciłam zainteresowanie wszystkim, co „ziemskie”. W obliczu śmierci babci i mojej śmiertelnej choroby w mojej głowie pojawiło się wiele pytań – niestety bez odpowiedzi... Najważniejsze z nich brzmiało: „Przecież kiedyś i tak umrę, to nie ma znaczenia, czy za rok, dwa czy za pięć, i tak ODEJDĘ!!! W wieczność do Boga, którego w ogóle nie znam, nic o Nim nie wiem, nawet nic nie robiłam, by się czegoś o Nim dowiedzieć i zgłębić lub chociaż nawiązać z Nim jakąś relację... I co teraz?”

Poza nurtującymi mnie pytaniami i wątpliwościami, myślałam także, jak pomóc mojej babci, która już żyje w Wieczności... a, że nasz Bóg jest Najlepszym Ojcem, Pan i o to się zatroszczył. Zaczęłam w internecie szukać książek mówiących o Bogu. Sugerując się tytułami książek, zakupiłam kilka... Niestety szatan wykorzystał moją niewiedzę w tym zakresie i naprowadził mnie w pierwszym etapie na książki New Age, co spowodowało mój bunt wobec śmierci naszego Zbawiciela i niezrozumienie. Myślałam, że oszaleję!!!

Był to dla mnie bardzo trudny czas, początek choroby, złe rokowania, nawracające, natrętne myśli o tym, że jestem śmiertelnie chora, nawet lekarze nie potrafili mnie pocieszyć... Po jakimś czasie zauważyłam, że są momenty, w których nie myślę o chorobie i śmierci. A były to chwile, kiedy odmawiałam różaniec. Modlitwa ta uwalniała mnie od myślenia o sobie, skupiałam się wtedy na rozwa-

żaniu tajemnic. Nigdzie nie ruszałam się bez różańca. Jedna z sióstr z Neokatechumenatu przywiozła mi z Częstochowy różaniec na rękę – jedną dziesiątkę z krzyżykiem – od tamtej pory tę „broń na szatana” zawsze noszę na ręce i często jej używam.

Wołałam też do Boga, by mi pomógł i naprowadził mnie na Drogę, która prowadzi do Prawdy. Pierwsza trafiła do mnie książka „Rozważania o wierze” ks. T. Dajczera, dzięki której odkryłam, że moja choroba jest ogromną łaską. Później „przyszła” – „Święta Pani” Fulli Horak, dzięki której dowiedziałam się, czym jest Niebo, czyściec (odkąd pochodziłam do czyścicy – poprosiłam Pana, bym mogła po śmierci iść prosto do Nieba – choć wcześniej twierdziłam, że bym się chociaż do czyścicy dostała) i piekło oraz jak pomóc mojej babci.

Przypominałam sobie także, że Gloria Polo pisała o swojej wizycie w czyścicy, jednak nie miałam tej książki, bo komuś pożyczyłam i nie pamiętałam komu. Ale przypomniałam sobie, że jedną z zamówionych wcześniej książek Glorii Polo sprezentowałam mojemu szwagrowi na urodziny. Poprosiłam więc by mi ją przyniósł i po raz drugi weszłam na stronę *Vox Domini*, zamówiłam sobie tę książkę i przy okazji zamówiłam z wyprzedaży Księgę II cz. 2 „*Poematu Boga Człowieka*” – bo była tania i z ciekawości, co tam jest napisane...

Kolejnym prezentem od Pana było zaproszenie przez mojego syna na Katechezę (wybierał się tam z kolegami z zespołu muzycznego). Odebrałam to jako odpowiedź Boga na moje wołanie. Kiedy poszłam na Mszę św., gdzie jeden z katechistów dawał swoje świadectwo, poczułam jakby Pan przez Niego odpowiadał na każde moje pytanie. Od tego momentu moi bliscy zaczęli mnie wozić na katechezy kończące się konwiwencją, na którą pojechałam razem z moim mężem, moją siostrą i jej mężem, i razem weszliśmy na Drogę Neokatechumenalną, będącą w tamtym czasie dla mnie ogromną radością, nadającą sens mojemu życiu.

Na Liturgiach zaczęliśmy czytać Pismo Święte, jednak wiele miałam pytań i tak mało rozumiałam z tego, co czytałam... I wtedy przypomniałam sobie o „tej książce, co miała 5000 stron” i mówiła o życiu Jezusa... i której jedna część stała u mnie na półce. Sięgnęłam po nią



i przeczytałam jednym tchem, przeżywając szok, ponieważ czułam się, jakby przeniesiona w inny świat!!!

Dzieło to jest tak pięknie opisane, że czytający ma wrażenie, że jest tam, w środku opisywanej sceny, biorąc w niej udział. W „*Poemacie*” wszystkie postacie są żywe. Miałam wrażenie, że „*oczami duszy oglądam film*”. Postanowiłam, że muszę mieć całość!!! I jak postanowiłam, tak zrobiłam. Od tego momentu Pan zaczął mnie prowadzić w mojej chorobie poprzez Pismo Święte (czytane na Liturgiach Słowa w Neokatechumenacie) i poprzez „*Poemat Boga Człowieka*”... Zaczęła się moja wielka życiowa przygoda z Bogiem.

Z „*Poematu Boga Człowieka*” czerpałam wiedzę i „uczyłam się” Jezusa, poznawałam Maryję, Apostołów, panujące obyczaje. „*Poemat*” przeprowadzał



mnie przez różne etapy mojej choroby i życia. Dzięki pouczeniom Jezusa miałam siłę do walki ze strachem przed przeszczepem i śmiercią, dzięki Jego pouczeniom rozumiałam sens i wartość cierpienia. W tamtym czasie Pan pozwolił mi przeczytać bardzo dużo wartościowych książek, które pogłębiały moją wiarę (wszak wiara rodzi się ze słuchania, a w tym przypadku czytania) i sprawiły, że poznałam życiorysy wielu świętych, co zaowocowało m. in. wstąpieniem w szeregi Rycerstwa Niepokalanej (św. Maksymilian Kolbe), przyjęciem Niebieskiego Szkaplerza (św. Stanisław Papczyński) i ukojeniem wielu nabożeństw: do Boga Ojca (s. Eugenii Ravasio), do Serca Jezusa (św. Małgorzata), do Ducha Świętego (św. Miriam), no i Niepokalanej królującej nam pod wieloma wezwaniami, do której szczególnie nabożeństwo mieli wszyscy święci, o których czytałam.

W międzyczasie zaczęłam też jeździć na rekolekcje i Msze św. z nabożeństwami uzdrowienia. Wyglądało to tak, że szłam do szpitala na badania i transfuzję, mąż odbierał mnie w piątek – przepakowywałam walizki – i wiozł mnie na rekolekcje. I to mi zostało do dzisiaj (oprócz wizyt w szpitalu na transfuzjach). Nie wyobrażam sobie dzisiaj życia bez rekolekcji!

Moja choroba rozpoczęła się w 2009 r. i od momentu, kiedy zaczęłam zastanawiać się nad sensem życia i zadawać Bogu pytania, zauważyłam, jak Bóg odpowiadał mi na nie w różnorodny sposób, używając do tego wszystkiego, co się ze mną wiązało. Jak choćby wiersz, na który natrafiłam, kiedy byłam bardzo przygnębiona o smutku i nadziei, przez który Bóg wskazał mi już w 2005 r. w pielgrzymkowym haśle, że **ŹRÓDŁEM** tej **NADZIEI** jest **EUCHARYSTIA**. I od tamtego czasu obiecałam sobie, że nie opuszczę żadnej Eucharystii, na którą będę mogła pójść, i jeżeli tylko mogę, starałam się i staram do dziś być codziennie.

Wiele sytuacji mojego życia Bóg pokazał mi w Jego świetle, ujawniając mi poprzez nie realizację Jego Woli i Jego Opatrzności, dzięki czemu rozumiałam, że nic nie jest dziełem przypadku i wszystko w naszym życiu ma sens, i jest ze sobą ściśle połączone. Wiele mam na to przykładów. Wiele z takich „przypadków” opisałam na blogu (www.starynowyczlowiek.blog.onet.pl), który prowadziłam podczas choroby. Bóg odpowiadał na moją małą wiarę i wątpliwości, podsyłając mi także różne czasopi-

sma. Z uwagą śledziłam każdy numer „*Rycerza Niepokalanej*” – zwłaszcza rubrykę z podziękowaniami za cudowne uzdrowienia. Także ogromne wrażenie zrobiły na mnie artykuły w „*Miłujcie się*”, szczególnie ten o Całunie Turyńskim i cudownym Obrazie Maryi z Guadelupe, których powstania do dzisiaj współczesna nauka nie potrafi wyjaśnić i nigdy nie wyjaśni, bo to Dzieło Boga...

Bóg przez cały czas mojej choroby (2009-2012 r.) uczył mnie ufności i zawierzenia Jego Miłości i Dobroci oraz Jego prowadzeniu. Przeszłam dwie kuracje, które okazały się zawodne. Dzięki różnym wydarzeniom uczył mnie, czym jest pełnienie Jego woli, jak choćby wtedy, kiedy „kładł” mnie na oddział na kilka tygodni, kiedy po ludzku miało być już dobrze i miałam pójść do pracy, a On postanowił, że jestem w szpitalu bardziej potrzebna, by modlić się przy umierających i po transfuzji służyć ciężiej chorym niż ja, by mówić ludziom o Bogu i Jego Miłości, pokazywać to służbą, modlitwą, czynami...

Kiedy miałam mieć przeszczep, a okazało się, że moja siostra spodziewa się dziecka, i czas pomiędzy jednym a drugim pobylem w szpitalu na transfuzję krwi stawał się coraz krótszy, to pozwoliło mi zrozumieć, że po pierwsze moje życie jest całkowicie w Jego Rękach, a po drugie, że On ma plan dla wszystkich swoich dzieci, by im pomagać i je prowadzić, jak było w przypadku mojej siostry... Także wtedy, kiedy moja siostra mogła już oddać mi szpik, ale okazało się, że aby zminimalizować ryzyko odrzutu przeszczepu, muszę mieć usunięte wszystkie zęby leczzone kanałowo a było ich dziewięć, i wszystkie wycinane z fragmentami kości..., co też wymagało trwania w zaufaniu przez kolejnych kilka miesięcy, bo po każdym z nich miałam „suchy zębodół” (kto to przeszedł, to wie, o czym piszę). Jednak dzięki temu zbliżyłam się do Jezusa, bo akurat ten czas zbiegł się z czytaniem VI księgi „*Poematu Boga Człowieka*”, w którym opisana jest Męka naszego Zbawiciela. Pan i w tym czasie pospieszył mi z pomocą, ponieważ cierpiąc, nie myślałam o sobie, tylko o Nim.

Także i czas przeszczepu był dla mnie bardzo wyjątkowy. Czułam się, jakby Jezus przenosił mnie i cały czas mi towarzyszył, pokazując mi, w którym miejscu Jego Męki jest moje cierpienie... Nawet termin pobytu na oddziale, który w żaden sposób nie był ode mnie zależny, przypadł na czas Wielkiego Postu (od 22 lutego – Środa Popielcowa, dzień

objawienia się Jezusa Miłosiernego św. Faustynie i urodziny Fulli Horak do 7 kwietnia – Wielka Sobota), co też zostało mi przepowiedziane przez Boga słowami pewnego kapłana: że będę kroczyć z Jezusem Drogą Krzyżową, ale przyjdzie taki czas, kiedy razem z Panem będę świętowała Poranek Zmartwychwstania.

W ciągu tych kilku lat, jeżdżąc na Msze św. z nabożeństwem uzdrowienia, trzech kapłanów otrzymało dla mnie Słowo od Boga, które było dla mnie prośbą i bezpośrednio dotyczyło mnie i mojej choroby. Po raz pierwszy takie prorocze słowo usłyszałam w Niedzielę Miłosierdzia Bożego 2010 r. na pierwszej Mszy św. z nabożeństwem uzdrowienia w naszym mieście. Było to w czasie, kiedy byłam „na głodzie” Słowa Bożego i od rana „karmiłam” się Słowem Bożym o 7:00 na TVP1 z Łagiewnik, o 9:00 wysłuchałam w *Radio Maryja*, o 11:00 na TV Religia (teraz już nie ma tego programu), o 13:00 na TV Polonia, więc Msza św., w której uczestniczyliśmy z mężem, o godz. 15:00 była już piątą z kolei. Jakie było moje ogromne zdziwienie, kiedy usłyszałam kapłana (śp. o. Sylwestra Haśnika) mówiącego na Nabożeństwie takie słowa: „*Jest tutaj młoda kobieta, która jest chora na raka, i uczestniczyła dzisiaj w kilku Mszach Świętych, Jezus mówi, że Cię uzdrowi*”. W głowie mi się zakręciło z wrażenia, bo myślałam: „*Skąd on to wie???*” W związku z tym, że było bardzo mało osób, wiedziałam, że to chodzi o mnie (później okazało się, że jedna z moich siostr ze wspólnoty także była na tym nabożeństwie i również pomyślała, że to na pewno chodzi o mnie).

Po raz drugi usłyszałam skierowane do mnie Słowo Pana w sierpniu 2010 r., będąc na rekolekcjach o. Jamesa Manjackala, który wymieniał imiona osób w tym momencie uzdrawianych przez Jezusa. Padło też moje imię „*Sydonia*”, ale pomyślałam, że może jest na tych rekolekcjach jeszcze jakaś inna Sydonia. I tak targowałam się z Bogiem, że gdyby mógł dać mi jakiś znak, że to właśnie o mnie chodzi? I wtedy z ust o. Jamesa padają słowa: „*Mario Magdaleno, dlaczego nie dowierzasz?*” (z Chrztu św. mam imiona Sydonia Maria, z bierzmowania – Magdalena). Także i w tym momencie zrobiło mi się słabo...

Po raz trzeci była taka sytuacja: przed przeszczepem, któregoś piątku, siedziałam bardzo smutna (to był jeden z tych dni, kiedy Jezus pokazywał mi, że wszystko w moim życiu jest łaską) i odwiedziła mnie moja siostra, pytając, dlaczego jestem taka smutna. Odpowie-

działam jej na to: „Wiesz, boję się tego czasu w izolacie, że będę tam sama, boję się, żebym nie dostała na głowę od tego czekania i napięcia, boję się, że oszaleję”. Siostra pocieszała mnie, jak umiała, i wieczorem zawiozła mnie na Mszę św. z nabożeństwem uzdrowienia do Buku (miejscowość w pobliżu mojego rodzinnego miasta). Jakie wielkie było nasze zdziwienie, kiedy usłyszałyśmy kapłana mówiącego: „Jest tutaj młoda kobieta, którą czeka bardzo ważne wydarzenie w jej życiu, i ona się boi, ma w głowie myśli, że tego nie wytrzyma, że oszaleje, ale Jezus mówi, żeby mocno uchwyciła się Jego laski pasterskiej, On ją przez to wszystko przeprowadzi”.

Obie byłyśmy w szoku...

ciąg dalszy tego wątku nastąpił po kilku miesiącach. Leżałam w izolacie przeszczepowej, gdzie pozwolono mi zabrać kilka książek, miałam ze sobą m. in. II Księgę „Poematu Boga Człowieka”, kiedy ją czytałam trafiłam na ten fragment: „Czy wiesz, Mario, co robisz? Czy raczej: co Ja robię, sprawiając, że widzisz Ewangelię? To usilna próba doprowadzenia ludzi do Mnie. Pragnęłaś tego w swych żarliwych modlitwach. Nie ograniczam się więcej do słowa. Ono ich męczy i oddala. To grzech, ale tak jest. Uciekam się więc do wizji, do wizji Mojej Ewangelii, i wyjaśniam ją, aby ją uczynić jaśniejszą i bardziej przyciągającą. Tobie daję pociechę wizji. Wszystkim udzielam środka, dzięki któremu można Mnie pragnąć i poznać. Jeśli środek ten nie jest używany i jeśli oni – jak okrutne dzieci – odrzucają Mój dar, nie rozumiejąc jego wartości, tobie pozostanie ten dar, a na nich spadnie Mój gniew. Mogłbym jeszcze raz uczynić dawny wyrzut: «Przygrywaliście wam, a nie tańczyliście; biadałiście, a wyście nie zawadzili». [por. Mt 11, 16-19, Łk 7, 11-35] Trudno, zostawmy ich. Niech 'nienawracalni' gromadzą na swe głowy węgle żarzące, a my zwróćmy się ku owieczkom, usiłującym poznać Pasterza. Pasterzem jestem Ja, a ty jesteś łaską, która je do Mnie prowadzi”.

Rozplakałam się, jak mała dziewczynka... Zaraz zadzwoniłam do siostry i męża, by podzielić się z nimi kolejnym „dowodem opieki, miłości, troski i prowadzenia” Dobrego Boga.

Wiele takich dowodów opieki Bożej Opatrzności, prowadzenia Maryi, Świętych i tych, którzy już żyją w Wieczności, miałam w ciągu trwania choroby, przed, w trakcie pobytu na oddziale przeszczepowym i po nim, przez cały czas także i teraz tego prowadzenia doświadczam,

gdybym chciała wszystko opisać, powstałaby opasła książka, a nie – świadectwo... Tyle sytuacji mogłabym jeszcze przytoczyć, które dla mnie były i są bardzo ważne! Jak choćby doświadczenie Świętych Obcowania, gdyż Święci dawali i dają mi wiele znaków swojego wstawiennictwa i prowadzenia...

Kolejnym zaskakującym dla mnie doświadczeniem było spotkanie się ze „Świadectwem i Pouczeniami” Alicji Lenczewskiej. Kilka miesięcy po przeszczepie uczestniczyłam w rekolekcjach w Otorowie. Prowadzone były przez kapłana, który duchowo przygotowywał mnie do przeszczepu i znaleźliśmy się już wcześniej. Znał on też Alicję i miał maszynopis jej dziennika duchowego. Mówił nam, że Jezus mówi do nas przez to dzieło, czytał nam jego fragmenty. „Wyżebrałam”, by pożyczyć mi na noc ksero maszynopisu tego dziennika, jeszcze nie był bowiem oficjalnie wydany (co teraz ma już miejsce). Byłam przeszczęśliwa, że będę mogła poczytać.

Jak to jest w zwyczaju na każdych rekolekcjach mieliśmy całonocną Adorację Najświętszego Sakramentu, a ja miałam od godziny trzeciej do czwartej, więc poszłam „rozanielona” na tą indywidualną audiencję i siedzę, i czekam, co się wydarzy... Nie wydarzyło się nic. Rozczarowana wróciłam do pokoju i mówię do Pana: „No, jestem ciekawa, co Ty mi na to powiesz, Jezu”, i otworzyłam zeszyt Alicji. Jak ogromne było moje zdziwienie, kiedy mój wzrok trafił na fragment, w którym Jezus tłumaczył Alicji, o co chodzi w Adoracji, że idąc na Adorację, nie idziemy by coś czuć, bo to jest pycha i szukanie samego siebie, a Adoracja polega na Adorowaniu i byciu z Panem tak po prostu...

Zaraz zdobyłam też dla siebie ksero tych maszynopisów, bo tak jak „Poemat Boga Człowieka” dał mi „wiedzę” o Jezusie, Jego nauczaniu, ofierze z życia Maryi i wszystkim, co się z tym wiąże, o tyle „Świadectwo” i „Słowo pouczenia” Alicji Lenczewskiej stanowi dla mnie „duchowy elementarz”.

Gdyby nie moja choroba, na pewno nie dostałabym zaproszenia od Królowej Pokoju do Medjugorje, gdzie nasza wyprawa w 2011 r. po ludzku była ryzykowna i szalona, ale po Bożemu to był Jego doskonały Plan owocujący do dzisiaj... Ale to opowieść na kolejne świadectwo... To, co opisałam, to zaledwie namiastka tego, co przeżyłam, czego doświadczyłam dzięki oddaniu się Bogu i Maryi, zaprzyjaźniając się z moim Aniołem Stróżem, moimi ukochanymi Święty-



mi, którzy także przez różne „zbiegi okoliczności” dokumentowali w moim życiu swój udział. Po prostu z perspektywy czasu wiem, że moje choroby, a szczególnie ta ostatnia, wraz z przeszczepem, były najszczęśliwszą „sprawą”, jaka mogła mi się przytrafić i bardzo za nią Bogu dziękuję!!!

Dziękuję także za cierpienie związane z chorobą i przeszczepem, którego bardzo się bałam, a które ofiarowane Bogu w pewnych intencjach, okazało się wielkim darem i łaską dla tych, za których je ofiarowywałam, od czasu, kiedy Bóg „objawił” mi sens cierpienia i pozwolił zobaczyć jego owoce. Zawsze kiedy mnie nim obdarza, łączę je ze Zbawczym Cierpieniem Jezusa i naszej Współodkupicielki i ofiaruję Bogu w różnych intencjach. Dziękuję Bogu za zmianę mojego życia, za „obranie” mnie jak karczochka z uludy doczesnego życia, za zburzenie moich na piasku budowanych fundamentów, na których opierałam swoje wcześniejsze życie i „wybudowanie” nowego człowieka na jednym tylko fundamencie, którym jest On Sam.

Dziękuję Bogu za mojego kochanego męża, którego wierność, oddanie – prawdziwą wartość – doceniłam w czasie mojej choroby, za dobre i mądre dzieci, które stanęły „na wysokości zadania” i za ich (teraz już) współmałżonków, bo przy nich nie muszę obawiać się starości, o ile Bóg dłużej żyć pozwoli, za cudowne wnuki, Blankę, Franciszka, Jeremiasza (i za to dziecię pod sercem mojej synowej), bo dzięki łasce Bożej mogę im mówić o Bogu i o tym, wszystkim, co w życiu najważniejsze. Dziękuję Bogu za mojego kochanego tatę, walczącego o mnie jak „lew” z różańcem w ręku... i nie tylko, bo i z biurokacją, i z systemem. Biedny tata z troski o mnie przeszedł zawał serca, kiedy mnie poło-

zyli na przeszczepowej izolacie. Dziękuję za moją cudowną i kochaną siostrę, wiernie towarzyszącą mi w czasie choroby, która podzieliła się ze mną częścią siebie – oddając mi 7 marca 2012 r. swój szpik, i za jej najbliższych. Dziękuję za wszystkich kapłanów!!! prowadzących mnie do Boga, a szczególnie za mojego kierownika duchowego i tych dziesięciu z Margaretek, za wszystkich dobroczyńców, wspierających mnie modlitewnie i materialnie, i za tych wspaniałych ludzi, których mi postawił wtedy i stawia dzisiaj na mojej drodze Dobry Bóg. Niech wszystkim wynagrodzi dobro, którym mnie obdarzyli i obdarzają.

Dziękuję Bogu za WSZYSTKO w moim życiu, bo wiem, że wszystko nawet to, co ciężkie, trudne i bolesne, jest „po coś”, i tylko Bóg w naszym życiu może sprawić, że z pozoru złe rzeczy, których doświadczamy, wydają dobre owoce. Dziękuję w Trójcy Jedynemu Bogu za naszą ukochaną Matkę Maryję, którą nam dał, której opiekę cały czas czułam i czuję. I na chwilę obecną mam tylko jedno marzenie: zdobyć świat dla Niepokalanej i modłę się, by jak najszybciej nastąpił Tryumf Jej Niepokalanego Serca.

Jej rycerka Sydonia

Na zdjęciu:

Rodzina w dniu ślubu córki (6 października 2012) i w dniu 22 rocznicy mojego ślubu, 7 miesięcy po przeszczepie.



Od Redakcji

Składamy gorące podziękowania za to świadectwo Bożego działania. Mamy nadzieję, że ktoś znajdzie w nim umocnienie i ufnie spojrzy na przebieg własnego życia, widząc nawet w wydarzeniach dramatycznych Boży palec. Również dla nas, jako wydawnictwa, słowa te są ogromnie cenne, ponieważ upewniają nas, że nasza praca nie jest daremna i że może stanowić czasem mniejsze, a czasem większe ogniwo na drodze czyjegós nawrócenia i zbawienia. Dlatego bardzo dziękujemy wszystkim, którzy chcą podzielić się z nami swoimi przeżyciami, nawet całkiem anonimowo, dając nam jednocześnie możliwość opublikowania świadectwa np. na stronie internetowej lub w najnowszych wydaniach naszych książek.

**Ks. Albert G. Roux Dyrektor Narodowy
Kapłańskiego Ruchu Maryjnego w USA do członków Ruchu**

W odpowiedzi na zapytanie o Tryumf Niepokalanego Serca Maryi

11 lutego 2001, we wspomnienie Matki Bożej z Lourdes

„Potwierdzam ci, że na Wielki Jubileusz roku 2000 nadejdzie tryumf Mego Niepokalanego Serca, który przepowiedziałam wam w Fatimie. Nastąpi on równocześnie z powrotem Jezusa w chwale dla ustanowienia Jego Królestwa na świecie.” (532j, 5 grudnia 1994)

Od zakończenia Roku Jubileuszowego, interpretacja wyżej cytowanego prorocstwa okazała się dla wielu dość problematyczna. Ci, którzy uważali, że oznacza ono, iż Jezus powróci w chwale rozczarowali się i byli zdezorientowani, wywołując tym samym lawinę telefonów, e-maili i listów z prośbami o wyjaśnienie słów Matki Bożej.

Ks. Gobbi napisał dwa listy, w których tłumaczy, jak można rozumieć powyższe słowa. Założyciel Kapłańskiego Ruchu Maryjnego przyznał, że zamieszanie wynikało z braku jasnego zrozumienia znaczeń niektórych wyrażań prorocstwa. Mianowicie niezbyt precyzyjnie przetłumaczono (na język angielski) niektóre słowa, a także niewłaściwie pojęto słowo „tryumf”. Czy zatem my dobrze rozumiemy to, co Matka Boża rzeczywiście chciała nam przekazać?

Po zakończeniu Roku Jubileuszowego przeczytałem ponownie niektóre teksty ks. Gobbi i szczególną uwagę zwróciłem na wywiad, który przeprowadzono z założycielem Kapłańskiego Ruchu Maryjnego w sierpniu 1999 r. Pytany o tryumf, odpowiedział:

„...Matka Boża nie doprowadzi do tryumfu Boga w jednej chwili, w ciągu jednej nocy, nie można go porównywać do magicznych sztuczek... Maryja buduje tryumf Jej Niepokalanego Serca w tych czasach, w tych latach, w których szatan pracuje na swoim własnym tryumfem. Szatan utworzył kohortę przy użyciu najpotężniejszej diabelskiej i masońskiej siły, aby osiągnąć swój cel... Matka Boża, będąc małą służebnicą Pana, tworzy swój zastęp w ciszy i ukrywa go w każdym zakątku świata, czekając na odpowiednią chwilę, aby to ujawnić. Stanowią ten zastęp najmniejsi, najubożsi – ci, którzy mówią „tak” i żyją dla chwały Boga... Nasza Matka wywiera ogromny wpływ na swoje małe dzieci. Tym sposobem Jej Niepokalane Serce tryumfuje. Do tej pory ukrywa je (swoje dzieci). Gdy

przyjdzie czas – i dla mnie oznacza to Wielki Jubileusz Roku 2000 – zrzuci swą osłonę i będzie można zobaczyć zastęp utworzony w każdym zakątku świata: jej Kapłański Ruch Maryjny składający się z biskupów, kapłanów i wiernych. W tym momencie powie: „Oto jest tryumf mego Niepokalanego Serca na świecie”. (Ks. Gobbi, 4 sierpnia 1999)

Znamienne jest to, że ks. Gobbi użył sformułowania „dla mnie”. Czy jest to znak, że być może on też nie miał pewności, co do dokładnego znaczenia tego prorocstwa, które Matka Boża przekazała 5 grudnia 1994?

W liście wyjaśniającym, ks. Gobbi omawia znaczenie włoskiego słowa: *per*, które przetłumaczono jako *w trakcie*:

„Przyimek per może dać dwa znaczenia tej frazie:

1. W CZASIE Wielkiego Jubileuszu roku dwutysięcznego, będzie miał miejsce tryumf mego Niepokalanego Serca

2. PRZEZ (= w konsekwencji, jako owoc) Wielki Jubileusz roku dwutysięcznego, dojdzie do tryumfu mego Niepokalanego Serca...

Pierwsze znaczenie ma wydźwięk czasowy, a drugie – przyczynowy.

„...Wierzę, że autentyczny sens może nadać frazie punkt drugi, a mianowicie, że z powodu i w konsekwencji Wielkiego Jubileuszu roku dwutysięcznego, nastąpi tryumf Niepokalanego Serca. Zatem nadejdzie to w okresie po samym Jubileuszu, w wyniku wielkiej łaski miłosierdzia, jaką Wielki Jubileusz przyniósł Kościołowi i ludzkości.” (Ks. Gobbi – Styczeń 2001)

Jakaż wielka łaska miłosierdzia rzeczywiście pojawiła się podczas Wielkiego Jubileuszu! W szczególny sposób wierzę, że ten Rok Jubileuszowy DAŁ okazję do tryumfu Matce Bożej w sercach i duszach, jak wskażę to niżej, a był to ostateczny tryumf Jej osobistej misji, który ma przywrócić dusze z powrotem Jezusowi.

„Tryumf Mojego Niepokalanego Serca dokona się przez nowe narodzenie Jezusa w sercach i duszach Moich biednych, zabląkanych dzieci...” (89o, 24 grudnia 1975)

– Co najmniej 25 mln osób przeszło przez Drzwi Święte w Rzymie, wyraża-